

„Obślizgłe spotkanie w blasku Księżycy”

Zdezelowany UAZ zjechał z drogi i zatrzymał się na poboczu. Reflektory oświetliły most przerzucony nad niewielką, górską rzeczką. Omszałe bale i zardzewiałe barierki wyglądały upiornie w wyblakłym świetle świateł samochodu. Za szybą pojazdu błysnęła ognik zapalniczki.

- Cholera, wspaniałe miejsce na spotkanie... - bąknął kierowca zaciągając się papierosem.

- I to jeszcze nie koniec drogi. Spójrz tam! - mężczyzna obok kierowcy wskazał mającący w mroku wąwóz za rzeką, który piął się wysoko w górę, wzdłuż rzeki, prowadząc w niewiadomym kierunku przez sosnowy las.

- Ale dlaczego na tym wypizdowie? Dlaczego w lesie? Przecież powinniśmy teraz być nad jakimś stawem, nie wiem, oczkiem wodnym... - poirytowany kierowca poprawił się w siedzeniu.

- Może dla niepoznaki. Staw to zbyt czytelne zagranie. Te obślizgłe dranie wiedzą, co robią! - odpowiedział pasażer i otworzył okno.

Nagle rykoszet światła z lusterek bocznych ciął ich po oczach. Na szosie za nimi pojawił się pojazd.

- No, przynajmniej mamy dobry czas! - rzucił kierowca łapiąc za klamkę drzwi.

- Ciekawe, kto to będzie i czy ma wszystko jak się umawialiśmy... A może po drodze coś zeżarł! - zaśmiał się mężczyzna na siedzeniu pasażera, wychodząc z samochodu.

Obaj mężczyźni stanęli przy samochodzie, wpatrując się w zbliżający się pojazd. Wyglądał niczym jednooka bestia, cyklop, pędząca w ciemności.

- Co za głupek! Nie działa mu jedno światło! - palacz ze złością cisnął peta w kupkę przydrożnych, zeschniętych liści. Tłący się niedopałek momentalnie wzniecił płomień. Drugi mężczyzna rzucił się gorączkowo do gaszenia.

- Się, kuźwa, bystrzacha odezwał! Kretyni, jak ktoś nas zauważy osobiście wam łby ukręć! - syknął depcząc niewielki płomień.

- Ej, pamiętaj z kim twoja siostra chodzi! - gniewnie zripostował palacz.

- Ona może jeszcze pochodzi, ale jej gachowi nogi z dupy powyrywam! - krzyk mężczyzny zmieszał się z hałasem wywołanym przez zjeżdżającego na pobocze Fiata Pandę. Samochód buksując i ślizgając się na piachu wpadł między mężczyzn i z głośnym szurnięciem zachamował. Kierowca aż rąbnął głową w kierownicę. Jeden z mężczyzn podbiegł do drzwi i szarpnął za klamkę.

- Ty debilu malowany! Bez świateł jeździsz! I na dodatek bez pasów! - seria razów spadła na oszołomionego kierowcę Fiata.

- Co... co ty... do cholery! Przestań!

Palacz podbiegł do samochodu i zaczął rozdzielać szarpiących się.

- Uspokójcie się obaj, idioci! Ty - wyłaż z tego samochodu natychmiast. A ty - masz, zapal sobie. Jeden mały rak nie zrobi ci różnicy!

Mężczyzna odrzucił propozycję wymownym gestem środkowego palca i podrpetał z powrotem do UAZa. Kierowca Pandy masując czoło, wytaszczył swoje wielkie cielsko na zewnątrz.

- I na dodatek grubas! Czyli jednak zeżarł. No to mamy w dupę...

- Zamknij się już! - mężczyzna uciszył agresywny głos dobiegający zza UAZa warknięciem, po czym spojrzał na tłuściocha i zapytał - Jak masz na imię?

- Jurek, ale przyjaciele mówią mi Piotrek... - wysokim tonem zaśpiewał grubas.

- Ja pieprzę, przecież to jakiś tłu...

- Zamkniesz się czy mam ci pomóc? – ryknął mężczyzna w stronę UAZa. Drzwi pojazdu trzasnęły – sygnał, że ktoś wziął sobie groźbę na poważnie.

- Słuchaj, Piotrek, Jurek czy kim tam jesteś... – zaczął mężczyzna łapiąc grubasa za ramiona. - Możesz sobie ustalać fajne ksywki, nie przeszkadza mi to. Ja na robocie jestem Fredem, a ten tam przyjemniaczek to Adi. Mam do ciebie jednak ważne, ale to bardzo ważne pytanie. Nie! Mam dwa pytanie: kto, do jasnej anielski, wydał ci prawo jazdy i dlaczego jeden reflektor nie działa?!

Tłuścioch w rękach Freda zaczął falować niczym galareta, przy akompaniamencie pisków i sapnięć. Mężczyzna ze wściekłością trząsał Jurkiem, uderając jego głową o dach pojazdu, aż ten nie klapnął na ziemię.

- Macie jeszcze dwie minuty na zabawę, panienki! – krzyknął Adi przez okno UAZa. Fred puścił Jurka i ciężko dysząc podszedł do bagażnika pojazdu.

- Daj kluczyki, Jurek.

- Piotrek... – jęknął żałośnie tłuszcioch, podnosząc się z ziemi.

Fred zamierzył się pięścią na Jurka, lecz ten prędko wyciągnął kluczyki ze stacyjki i rzucił je mężczyźnie.

- Chodź nam pomóc! – Fred zawołał Adiego łagodniejszym głosem.

Wszyscy trzej stanęli za Fiatem przerobionym na samochód dostawczy. Fred otworzył bagażnik. Ich oczom ukazał się ogromny plastikowy pojemnik, szczelnie owinięty taśmą izolacyjną.

- Darły się... – Jurek odpowiedział na zdziwione spojrzenia mężczyzn.

Fred wyciągnął z kieszeni nóż sprężynowy, rozciął zabezpieczenie i otworzył klapę. Na dnie pojemnika stało mnóstwo słoików wypełnionych po brzegi świetlikami. Stworzonka przebudziły się z letargu i momentalnie rozbłysły. Nie był to jednak ciepły, przyjemny blask, jaki można zobaczyć końcem lata. Był to raczej błysk wściekłości.

- Gnoje! Międzynarodowe konwencje zakazują handlu zwierzętami! Będziecie się smażyć w piekle!

- Policja! Policja! Na pomoc, porwali nas!

- Czy ktoś nas słyszy, zwierzęta, pomóżcie nam!

- Pieprzeni ludzie, wiedziałem, że nie można im ufać!

- To ten grubas, zapamiętajcie jego twarz!

Pokrywa pojemnika opadła z łoskotem, dusząc krzyki i światło.

- Nawet nie wiecie, co musiałem zrobić, aby je złapać... – stęknął cicho Jurek.

- Dobra, przenieśmy skrzynię do UAZa. Pojedziesz z nami Jurek – zakomenderował Fred.

- Ale ja... – zająknął się grubas.

- Nie ma żadnego „ale”! Taka była umowa. Ładunek dowozisz na miejsce spotkania, a do niego mamy jeszcze kilometr. Pakuj dupsko i spadamy!

Przy chórze stęknień i posapywań pojemnik udało umieścić się na pace UAZa. Kilka minut później trójka mężczyzn siedziała w poskrzypującym i terkoczącym samochodzie, który piał się w górę stromego wąwozu, co chwila ślizgając się i staczając niebezpiecznie w stronę koryta rzeki. Fred z przekleństwem na ustach omijał kolejne parowy i koleiny wyrzeźbione przez potoki, Adi siedział na siedzeniu obok wpatrując się w ciemność z ponurą miną, a Jurek z tyłu UAZa skulony zatykał uszy, starając się nie słuchać grózb świetlików.

Po pół godzinie mozolnej wspinaczki, wjechali na szczyt wzgórza. Drzewa przeredziły się, a w końcu zniknęły całkiem, ustępując miejsca gęstym krzakom dzikich malin i wysokim, suchym trawom. Znaleźli się na olbrzymiej polanieoświetlonej przez Księżyc w pełni. Na ten widok Jurek przełknął głośno ślinę.

- Tam! – zawołał Adi wskazując palcem kilka postaci stojących na środku polany.

Fred skierował pojazd we wskazanym kierunku. Jechali w całkowitej ciszy. Nawet

światliki uspokoiły się. Jedyne wysoka trawa szurała cichutko o karoserię.

- Bbboże, to straszne, że kiedyś na tej polanie cykałyby o tej porze świerszcze.

Przecież to zwierzęta! Jak one mogły... – wydukał drżącym głosem Jurek.

- Jurek... Jarek... Kur... Nieważne. Słuchaj, to już od czterdziestu lat nie są zwierzęta.

Czy tego chcemy czy nie, te pieprzone świetliki z tyłu już nigdy nie będą tak po prostu latać nad drogą, a cholerne świerszcze nie zagrają swojej nocnej melodii! – Fred zacisnął ręce na kierownicy omijając zwaloną wierzbę leżącą na polnej drodze.

- Mój szwagier tyra u świerszcza w warsztacie. Może i ciężko nazwać go zwierzęciem, owadem czy czymkolwiek, ale te skurczysyny dalej zachowują się jak zwierzęta, słowo daję! Parszywy cham, prywaciarz. Nigdy więcej roboty u robali, nigdy! – Adi ze wściekłości rąbnął pięścią w deskę rozdzielczą.

- Uspokój się. Dojeżdżamy na miejsce. Miejmy nadzieję, że te wylupiate paskudy będą grzecznie! – ostatnie słowa Fred wycedził przez zacisnięte zęby.

Adi sięgnął do schowak i wyciągnął z niego dwa pistolety. Jeden podał Fredowi.

- Co? Po cholere ta broń?! Myślałem, że po nią jedziemy! – przestraszony Jurek wycofał się w głąb pojazdu.

- To zabezpieczenie. Człowiek człowiekowi wilkiem, a wilkowi...ehh. Tobie bym nie zaufał, a co dopiero gadom! – Fred położył pistolet na kolanach.

- Płazom. Żaby to płazy... – poprawił Adi, chowając broń za pasek spodni.

- Zobaczymy... – wyszeptał Fred. Adi zmarszczył brwi, spojrzał na niego ze zdziwieniem i już miał coś powiedzieć, gdy nagle UAZ się zatrzymał. Byli na miejscu.

Cztery postaci zbliżyły się do ich samochodu przysłaniając oczy. Fred zgasił światła i samochód. Powoli wysiadł z samochodu wraz z towarzyszami.

- Nareszcie, stałocieplne cioty! Ile można na was czekać?! – zabalgotała najwyższa z paskud, brnąc po pas w łykowanej trawie i polewając się co jakiś czas wodą z butelki. Śliskie, nabrzmiałe ciało, pokryte guzami i grudkami falowało przy każdym słowie, które poczwara dosłownie wybekiwała z siebie.

- Jezu, nigdy nie widziałem ich z bliska! One chodzą na dwóch nogach i są tak wysokie jak... – wyszeptał Jurek, lecz łokieć Adiego wycelowany w brzuch prędko uciszył spostrzegawczego grubasa.

- Jesteśmy na czas! Na mierzenie fajfusów przyjdzie jeszcze czas, zabo. A może i nie... – Adi i Jurek zakrztusili się ze śmiechu.

Płaz podszedł niebezpiecznie blisko do Freda i spojrzał mu głęboko w oczy. Mężczyzna zadrżał przed wzrokiem ohydy - wąskie źrenice w kształcie szparek prześwidrowały go na wylot, dotykając ohydny łapskim serca i duszy.

- Jestem ropuchą, włochata małpo! – śliski paluch otoczony błonami dźgnął Freda w pierś. Adi momentalnie wyciągnął broń i wycelował w ropuchę. Reszta płazów odwzajemniła się tym samym – pochwycili Kałasznikowy, które do tej pory leżały u ich stóp w trawie.

- Adi, spokojnie! Widzimy, że macie to, na co się umawialiśmy. To może teraz my pokażemy towar i się w końcu dogadamy, do jasnej cholery?!

Ten argument przemówił do rozsądku oślizgłej maszkarze. Cofnęła się o kilka kroków i gestem opanowała towarzyszy, którzy opuścili karabiny.

- Pokaż! – wybulgotała ropucha.

Fred skinął na Adiego i Jurka. Ci prędko pobiegli na pakę UAZa i po chwili przytaszczyli ze sobą pojemnik.

Płazom zaświeciły się oczy, jednak, gdy przywódca zmiennocieplnych zobaczył zerwaną taśmę, nadął się wściekle.

- Żartujecie sobie z nas, lachociągi? Jeśli towar jest trefny... – ropucha nie dokończyła. Boski blask wyprysnął ze skrzyni i rozlał się na rozdziawionych gębach stworów. Delikatny wiaterek wprawił trawy w ruch.

- I co? Ilość się zgadza? – zapytał Fred, lecz przywódca płazów uciszył go ręką.

Ropucha podniosła jeden ze słoików wypełnionych świetlikami do paszczy i spojrzała na jego zawartość. Przestraszone owady z niemym przerażeniem wpatrywały się w gąbczasty język, który oblepił ścianki szklanego więzienia.

- Chwila, chwila, chwila! Na degustację przyjdzie jeszcze czas. Teraz wasza kolej! – Fred ze zdenerowaniem oderwał słoik od jęzora stwora, wrzucił słoik do pojemnika i zatrzęsął wieko.

Płazy momentalnie poderwały broń do góry i zaczęły złowrogo rechotać. Największa ropucha po raz kolejny skinęła łapskiem, uciszając jazgot. Błoniaste podgardle nappełniło się powietrzem i potwór wydał z siebie kilka dziwacznych odgłosów porównywalnych brzmieniem do gotującego się budynku. Jedna z ropuch zniknęła w wysokiej trawie i po chwili wyciągnęła oślizgły worek-błonę. Podniosła go w górę i teatralnie wysypała z niego kilka sztuk karabinów AK-74. Wyjęła z każdego magazynek, pokazując, że są nabite. Następnie podniosła w górę kolejny, mniejszy worek i wręczyła go Fredowi. Mężczyzna ziesmaczony strzepnął z rąk śluz i zajrzał do środka.

- OK. Wygląda na to, że wszystko się zgadza. Amunicja też jest. Rozumiem, że karabiny twoich koleżków też idą z nami... – Fred podszedł do jednej z ropuch, wyciągając ręce po karabin.

- No nie do końca... – ropucha nie dokończyła. Jej głowa rozprysnęła się niczym arbuz przy wtórze głośniego huk.

Pozostałe poczwary zaskoczone spojrzały na siebie. Ogłuszający huk. Kolejna z nich padła na ziemię z dziurą wielkości pięści w klatce piersiowej. Mężczyźni padli na ziemię. Fredowi zza paska wysunęła się broń i spadła w trawę. Jedna z ropuch wycelowała w Adiego. Ten był jednak szybszy. Dwa ciemne punkty pojawiły się na głowie szkarady. Strużka brązowej krwi ściekła po wylupiastych oczach. Ostatnia z ropuch spięła koślawe nogi i wykonała gwałtowny skok. W locie odbezpieczyła karabin i posłała na ślepo serię w stronę mężczyzn. Jedna z kul sięgnęła Jurka.

- Aaaaa! Mój tyłek! Ty chora, podstępna, pieprzona! – rozwścieczony Jurek zerwał się na równe nogi, porwał z zarośli broń Freda i z niespodziewaną furią zaczął strzelać do skaczącej ropuchy. Wypruł cały magazynek, lecz nie trafił ani razu. Nim ostatnia z łusek z cichym szelestem opadła w trawę, a broń szczęknięta sygnalizując, że magazynek jest pusty, rozległ się kolejny ogłuszający huk. Rozkawałkowana twarz Jurka rozbryzgała się na kurtce Freda. Adi na ten widok puścił pawia. Kolejny strzał. Skaczące monstrum, które już prawie zniknęło z polany, w najwyższej fazie lotu zostało ugodzone przez ponadźwiękowy pocisk. Z obrzydliwym plaśnięciem spadło w trawę.

- Co się, kuźwa, dzieje?! Kto strzela? Adi? Adi! – Fred ze strachem w oczach czołgał się w trawie szukając kolegi.

- O boże... widziałeś, widziałeś, co się stało z tym grubasem! – kolejny spazm wygiął ciałem Adiego, a wymiociny zalały mu ręce.

Fred spojrzał w stronę pozostawionego samochodu. Podczołgał się pod UAZa i wślizgnął się do środka.

- Ja wam pokażę, gnoje... – wycedził przez zęby i sięgnął pod schowaną pod siedzeniem strzelbę. Kopniakiem otworzył drzwi i z rykiem wyskoczył z auta. Strzelba zaczęła pluć śrutem. Mężczyzna obracał się i strzelał na ślepo w wysokie zarośla. Po ostatnim strzale usłyszał krzyk.

- Adi... – wyszeptła i rzucił się w miejsce, gdzie ostatni raz widział kolegę.

Desperacko rozgarniał kolejne kępy trawy, gdy nagle jego oczom ukazał się mężczyzna umazany wymiocinami i krwią.

- Jezus Maria! Adi! Nie chciałem, myślałem... – Fred zacisnął dłonie na ranie na klatce piersiowej Adiego, lecz krew przedzierała się przez jego palce nieprzerwanym strumieniem.

- Zabij tego gnoja, zabija go! I powiedz mojej siostrze, że ma się z tobą nie... – ostatnie słowa uwięzły w gardle Adiego i skończyły się.

Fred zaniósł się od płaczu. Walił pięścią w stygnące ciało kolegi i rzucał przekleństwami. Nagle usłyszał tętent kopyt. Zamilkł i w ciszy nasłuchiwał. Coś przekłusowało tuż obok niego. Ze strachu wypalił w powietrze ze strzelby. Spojrzał do komory. Pusta. Przeładował. Nadal pusta. Zerwał się do biegu w stronę UAZa ze strzelbą pod pachą. Już miał wskoczyć do otwartego pojazdu w poszukiwaniu amunicji, gdy usłyszał przerażający huk. Odgłos wystrzału złął się z symfonią bólu. Jego prawa noga poszła w strzępy. Krwawy kikut zapulsował nieziemskim bólem. Mężczyzna zawył niczym ranny waleń. Wyciągnął błagalnie ręce w stronę samochodu, lecz szok spowodowany bólem odebrał mu świadomość.

Obudził go ból. Siedział w UAZie na miejscu kierowcy. Ktoś wybił przednią szybę. Chciał zapalić światło, jednak świat zawirował mu w oczach. Spojrzał w dół, na coś, co było kiedyś jego nogą. Wszystko było upačkane krwią. Nie miał pojęcia, dlaczego jeszcze żyje. Miał się wkrótce przekonać.

Do samochodu podszedł powoli jakiś cień. Złowroga postać na dwóch nogach, nieprzypominających ludzkie. Mocno zbudowane ciało. Rogi. Czyżby sam diabeł po niego przybył? Rzeczywistość była jednak bardziej prozaiczna.

- Miałem nadzieję, że się obudzisz – postać przemówiła aksamitnym, władcym tonem.

Fred tępym wzrokiem spojrzął przed siebie. Drżącą ręką przekreślił kluczyk w stacyjce i zapalił światła. Przed UAZem stał jelen z strzelbą w dłoni. Konający mężczyzna otworzył jedynie lekko usta - tylko w ten sposób potrafił wyrazić szok i niedowierzanie.

- Spokojnie, spokojnie! Wiem, że być może rzadko widzisz parzystokopytne w takiej sytuacji, ale... Myśleliście, że się nie dowiemy, dlaczego dogadaliście się z ropuchami? – jelen obniżył głos, a jego racice zacisnęły się mocniej na strzelbie. – Wy, ludzie, nawet po tylu latach nie jesteście w stanie pojąć, że niektóre rzeczy się zmieniły! Ropuchy? Naprawdę do tego już dochodzi? Ludzie dogadują się z czymś, co składa skrzek? My ssaki powinniśmy trzymać się razem!

Jelen z wściekłością pchnął samochód kopniakiem. Dopiero teraz Fred spostrzegł, że tył UAZa wisi nad przepaścią. W bocznym lusterku dostrzegł zarysy koryta rzeki.

- Karma wraca. Jeszcze pół wieku temu w tych lasach to samy i jelenie płochliwie uciekały przed człowiekiem – kłamliwym, pysznym i podstępny... Nawet gady mają więcej honoru niż wy! – kolejny kopniak. UAZ stoczył się o kolejne centymetry. Ból zagrzmiał w skroniach Freda niczym wystrzał z armaty. Świat zawirował po raz kolejny.

- Czas ludzi się kończy, sami sobie zgotowaliście taki los. Oglądałeś „Planetę małp”? No to wyobraź sobie, że to wszystko to prawda, tylko, że z większą ilością gatunków. A na dodatek legalnie! – jelen ostatni raz kopnął w samochód, który spał się o niewielkie drzewko, na samym krańcu przepaści. Gałęzie drzewa zachrobotyły o karoserię złowróźnie.

- Sezon na leszcza, misia i jelenia się skończył. Rozpoczyna się sezon na ludzi! – pan lasu wycelował we Freda z olbrzymiej flinty i wypalił. Siła pocisku była tak duża, że niewielkie drzewko z trzaskiem ustąpiło. Samochód spadł w przepaść. Prawdopodobnie w tej chwili świat zawirowałby w głowie Freda po raz kolejny, jednak już jej nie miał. Odstrzelił mu ją jelen, podczas spotkania z ropuchami w blasku Księżycy.